

Starostwo to nasz drugi dom. Fizycznie spędzamy tu osiem godzin, ale w głowie i w sercu – choć nie bez stresu – ta praca towarzyszy nam przez cały czas – mówi Starosta Opolski Henryk Lakwa.

Panie Starosto, jako jedyny w województwie opolskim pełni Pan tę funkcję od momentu powstania powiatów. Cofnijmy się do początków Pana urzędowania. Jak to się stało, że zasiadł Pan na tym fotelu?

Zacząłem się dosyć niewinnie. Od marzenia, żeby zostać...wójtem. Był rok 1997. Poszedłem do Urzędu Gminy, w której mieszkałem i w rozmowie z ówczesnym wójtem zasugerowałem – przyznaję – że skoro zbliża się do emerytury, a miał do niej jeszcze parę lat, rozważam start na to stanowisko. Jaka była jego reakcja? Poszedł do naszego posła i powiedział: „Pogadaj z tym Lakwą, bo on mi tu chce wejść na teren”. Skutek był taki, że nasz poseł zaprosił mnie na rozmowę i przedstawił zaskakującą propozycję, mówiąc: „Panie Henryku, powstają powiaty, pan na pewno, pracując w administracji rządowej, jest rozpoznawalny, więc z pewnością wejdzie pan do rady powiatu. Co więcej może Pan kandydować na starostę. Tak też się stało. 7 listopada 1998 roku, po wygraniu wyborów do samorządu powiatowego, rada jednogłośnie wybrała mnie na pierwszego Starostę Opolskiego w województwie opolskim.

Zostanie starostą to sukces, ale utrzymanie się na stanowisku przez tyle kadencji to już wyczyn. Jak się to robi?

Rzeczywiście, jest to już siódma kadencja, 27 rok pracy. Od zawsze trzymam się zasady, że mam do spełnienia misję: dbałość o stałą poprawę jakości życia mieszkańców naszego powiatu, przekładająca się na działania w obszarach, które należą do kompetencji tego szczebla samorządu. Słyszę też od ludzi, że tyle lat na tym stanowisku to efekt tego, że jestem człowiekiem otwartym, rozmawiam z ludźmi, unikam konfliktów. No i jest jeszcze coś, co sprawia, że moje wyniki wyborcze zawsze są wyższe od wyników kolegów...

Dodatkowy as w rękawie?

Można powiedzieć, że tak. Mam jeszcze tak zwany elektorat muzyczny, bo wraz z żoną od ponad 30-stu lat śpiewamy piosenki – popowe, folkowe. U nas to się nazywa „muzyka familijna”, czyli dla każdego coś miłego – od przedszkolaka do seniora.

Czyli można powiedzieć, że przez kolejne kadencje przechodzi Pan śpiewająco...

Początkowo podśmiewywano się z tego. Mówiono: „śpiewający starosta”. W trakcie pierwszej kadencji nie byliśmy jeszcze tak znani, ale już w czasie drugiej, kiedy występowaliśmy częściej, można było dostrzec aktywność mojego elektoratu muzycznego. On rzeczywiście zapewnił mi wzrost poparcia. Zdobywałem najwięcej głosów w wyborach i z czasem, w obiegowej opinii, zacząłem być „pewniakiem”.

Muzyczna pasja wydała zatem podwójne plony. Nie tylko te na polu artystycznym, ale i politycznym. Kiedy odkrył Pan w sobie to muzyczne zamiłowanie?

Zacząłem się od chóru kościelnego, w którym śpiewaliśmy wraz z Klaudią, obecnie moją żoną. Z dużej grupy wyłapał mnie w pewnym momencie ówczesny ksiądz wikary, mówiąc: „Wiesz co, może byśmy tak założyli jakiś zespół? Widzę, że kilka osób w tym chórze ma potencjał w głosie”. Tak powstał zespół big-beatowy, z perkusją, gitarami, który śpiewał na żywo w kościołach. Ta przygoda trwała dopóki kolejni

członkowie grupy nie zaczęli emigrować na Zachód. Została nas trójka, w tym ja i Klaudia. Początkowo nie wiedzieliśmy, co robić, ale jeżeli ktoś ma pasję, to proszę mi wierzyć, ta pasja zawsze będzie o sobie przypominać, bez niej będzie czegoś brakować. Tak też było w naszym przypadku. W 1993 roku utworzyliśmy zespół, który śpiewał covery piosenek niemieckich, gdyż na naszych terenach było wielu przedstawicieli mniejszości niemieckiej. Organizowali gros spotkań przy kawie, kołaczku, na festynach różnego rodzaju. Te wydarzenia miały wielką popularność i my z tego korzystaliśmy.

Przełomowym momentem dla naszego zespołu była walka o Opolszczyznę. Planowana likwidacja Województwa Opolskiego skutkowałą wielkim zrywem społeczności regionalnej. Ktoś zaproponował nam wówczas, żebyśmy zaśpiewali protest song. Tak powstała piosenka „Hej, łostowicie nam Opolskie”, emitowana później w wielu rozgłośniach radiowych i zapewniająca nam rozpoznawalność. Dostawaliśmy zaproszenia na wszystkie festyny, na których broniło się nasze Województwo. Wtedy zrezygnowaliśmy też ze śpiewania coverów. Moja już wtedy żona zabrała się za pisanie tekstów i od tego momentu śpiewamy własne piosenki. Muzykę kupujemy od firmy fonograficznej. Ta pasja jest takim uzupełnieniem naszego codziennego życia. Jeśli w weekend śpiewam, to w poniedziałek wracam do pracy wypoczęty. Mam zrobiony tzw. reset. Pomaga mi to utrzymywać się przez te 27 lat w dobrej kondycji.

Żona pisze teksty, a mąż...?

...pogania. Gdybym nie poganiał, to bylibyśmy jeszcze daleko, daleko w lesie (śmiech). Natomiast wiadomo, że do pisania trzeba mieć natchnienie, musi być ten odpowiedni moment.

O czym opowiadają Państwa piosenki?

O miłości, o rodzinie, o tym naszym małym hajmacie, czyli naszej małej ojczyźnie. Są proste, ale takie są przekazy życiowe.

Bez akcentów politycznych?

Bez. Poza wspomnianą obroną Opolszczyzny. Nigdy nawet nie proponowano nam śpiewania na rozpoczęcie czy w czasie kampanii wyborczej i sami nigdy byśmy się na to nie zgodzili. Nie zaśpiewałbym żadnej piosenki zachęcającej do głosowania na mnie czy kogoś innego. Gramy fair. Obecnie już w ogóle nie występujemy na naszym terenie.

Jest jedna piosenka odwołująca się do znanej nam wszystkim postaci...

Tak. Jedyna taka piosenka: „Francesco”. Uważam, że ma najpiękniejszy teledysk, jaki udało nam się wyprodukować. Początkowo utwór miał być całkiem inny i nosić tytuł „Fernando.” Żona wpadła jednak na pomysł, by zadedykować go naszemu papieżowi. I tak powstał „Francesco”, czyli młody chłopak, który biegał po ulicy i zarażał wszystkich radością. Jest to jedna z tych piosenek, z których jesteśmy znani. Ludzie, kiedy chcą nam zaimponować znajomością naszych utworów, wymieniają często właśnie ten.

A pamięta Pan pierwszą Państwa piosenkę?

Pierwszą była śląska wersja niemieckiego utworu. Nosi tytuł „Nudelkula”, czyli „wałek do ciasta”; o

zione, która w reakcji na powrót męża pod wpływem, chwyta za wałek do ciasta i To do dziś taki sentymentalny utwór, który ludzie, szczególnie ci starsi, pamiętają. Natomiast taką naszą pierwszą popularną piosenką było wspomniane już „Hej, łostowcie nam Opolskie”.

Jedna piosenka towarzyszy nam od początku do dnia dzisiejszego. Najpierw była śpiewana po niemiecku, potem żona napisała polski tekst i zarejestrowała go w niemieckiej GEMIE (odpowiednik polskiego ZAIKS-u – przyp. red.). Nazywa się Sierra Madre. Publiczność wie, że jak śpiewamy Sierra Madre, to się żegnamy, bo tym utworem kończymy każdy występ. Kiedy rozpoczynaliśmy naszą karierę muzyczną, to widownia przy tym utworze wyciągała zapalniczki i nimi machała. Dziś używa do tego latarek w telefonach.

Nasz repertuar jest dziś naprawdę bogaty. Piosenki czy teledyski są emitowane przez lokalne stacje czy nawet stację ogólnopolską i Polo TV. Dwukrotnie udało nam się zdobyć I miejsce w Szlagierowej Liście Przebojów TVSilesia. To dowód na to, że ludziom podoba się nasza muzyka. Będziemy aktywni dokąd pozwolą nam zdrowie i siły, a przede wszystkim, dopóki ludzie będą chcieli nas słuchać.

A gdyby miał Pan zaśpiewać utwór o aktualnych wyzwaniach Starostwa Opolskiego, to jak brzmiałby jego tytuł?

Śpiewać o tym bym się nie odważył, ale na pewno największym wyzwaniem we wszystkich powiatach są drogi. O to najczęściej pytają mieszkańcy. W 1998 roku powiaty dostawały drogi w ostatniej kolejności. Otrzymaliśmy więc te, które spełniają ustawowe kryteria drogi powiatowej, ale i te, które nie zostały przekazane gminom czy województwom; których nikt nie chciał. No i mamy dzisiaj drogi donikąd: do dawnego PGR-u, do lasu, drogi urywające się. Nasz powiat posiada ponad 540 km dróg, przebiegające przez 13 gmin. To bez mała tyle co z naszego powiatu nad Bałtyk. Oczekiwania co do remontów są duże, a budżet powiatu musi wystarczyć na realizację naszych ustawowych zadań i na inwestycje, które są kosztowne, co wymaga pozyskiwania środków ze źródeł zewnętrznych.

Drugą ważną kwestią jest oświata, która w budżecie samorządów gminnych i powiatowych pochłania ogromną ich część. My mamy cztery szkoły, w tym jedna z krytym basenem, dwie z internatem. Do tego musimy walczyć o ucznia ze szkołami w Opolu. Jesteśmy powiatem obwarzankowym, czyli mamy trzynaście gmin wokół stolicy województwa. Zatem sporo uczniów wybiera szkoły w dużym mieście. To jest wyzwania każdego obwarzankowego powiatu i my również się z nim borykamy.

Wrócił Pan w swojej wypowiedzi do roku 1998. Jak postrzega Pan siebie jako początkującego starostę z dzisiejszej perspektywy?

Obejmując urząd po raz pierwszy, miałem 36 lat i byłem jednym z najmłodszych starostów w Polsce. Samorząd powiatowy był wówczas czymś co dopiero raczkowało, czego trzeba się było uczyć. Nie mieliśmy żadnych wzorców. To było duże wyzwanie. Pierwszy budżet, pierwsze absolutorium. Do tego trzeba było wszystko zrestrukturyzować: służbę zdrowia, oświatę. Mieliśmy szkoły-widma, z dziesięciorgiem uczniów. Musieliśmy sobie z tym radzić.

Trzeba było zmierzyć się z trudną, ale konieczną i uzasadnioną pod względem ekonomicznym likwidacją placówek medycznych. Otrzymałem wtedy od opozycji przydomek Henryk Likwidator. My wtedy naprawdę zrestrukturyzowaliśmy u siebie całą służbę zdrowia. Trzy małe szpitale, które nie wyrabiały kontraktu z Kasą Chorych. W jednym z nich mamy dziś zakład opiekuńczo-leczniczy, prowadzony przez

Gminę, w drugim Caritas prowadzi hospicjum i warsztaty terapii zajęciowej, a w trzecim zlokalizowany jest tzw. dom spokojnej starości. Został jeden szpital, który był nowy, wykonywał kontrakty, ale musiał mierzyć się w walce o te kontrakty ze szpitalami w mieście wojewódzkim. Mimo obaw mieszkańców, zdecydowaliśmy się na uzasadnione ekonomicznie przekazanie cesją kontraktu tego szpitala prywatnej firmie. Ta placówka funkcjonuje do dziś wzorcowo, lecz w ramach kontraktu z NFZ-em, udziela też świadczeń poza kontraktem. Ja dziś jestem spokojny, pieniądze, którymi musielibyśmy wspierać szpital, mogę przekazywać na drogi, szkoły, które też zostały zrestrukturyzowane i dostosowane do rynku oświatowego. Musieliśmy się naprawdę natrudzić, żeby znaleźć takie kierunki kształcenia, które zachęcą młodzież, by podjęła u nas naukę. Naszym dodatkowym atutem są dwa internaty. Mamy wśród kierunków również klasy strażackie, policyjne, piłkarskie, mistrzostwa sportowego, obrony narodowej, bezpieczeństwa narodowego, mamy znakomite technikum leśne.

Zadbaliśmy również o zabytki. Dzisiaj mamy dwie perełki w powiecie, czyli Dom Pomocy Społecznej w Zamku Hrabów Prószkowskich oraz pałac w Tułowicach, gdzie mieści się internat jednej z naszych szkół. Udzielamy dotacji na ratowanie zabytków. Wspomnę jeszcze o dotacjach do wymiany kopciuchów na ekologiczne źródła energii.

Podejmowane przez lata działania mógłbym długo wymieniać. Jest ich dużo, ale ja kocham to, co robię. Chyba znalazłem swoje miejsce na ziemi. Początki nie należały do łatwych, bo przez te pierwsze lata wszystkiego się uczyliśmy, ale mam bardzo znakomych współpracowników, wsparcie rodziny, a to jest podstawa sukcesu. Starostwo to nasz drugi dom. Fizycznie spędzamy tu osiem godzin, ale w głowie i w sercu – choć nie bez stresu – ta praca towarzyszy nam przez cały czas.

Wspomniał Pan, że początkowo brakowało Państwu wzorca jak organizować samorząd. Czy to nie miało też jednak pozytywnej strony? Dawało sposobność do tego, by pewne praktyki wykształcić.

Rzeczywiście, można było je trochę kształtować, ale nie było dużego pola manewru. Były przecież ustawy mówiące, jakie są zadania, na co należy przeznaczyć pieniądze. Wtedy istniały znaczące subwencje. Pamiętam, że na wszystko brakowało pieniędzy, ale była subwencja drogowa. I była ona chyba największym błędem rządu. Większość samorządów te pieniądze przeznaczyła na inne cele, np. na szkoły. Mimo trudności, pracowało nam się wtedy o wiele łatwiej. Może byliśmy młodszy, no i nie było tylu zmian w przepisach wprowadzanych potem przez kolejne rządy.

Jak kształtowały się relacje pomiędzy władzą centralną i samorządową?

Początkowo braliśmy wszystko tak jak dawano. Już wtedy mieliśmy świadomość, że najpierw dokłada się zadania, a o pieniądzu się nie mówi. Niektóre z nich przez długi czas były dofinansowywane z naszych własnych środków, mimo iż były to zadania rządowe. Z czasem kolejne rządy zaczęły majstrować przy samorządach. Powiatom odebrano wszystkie straże, czyli Straż Pożarną, Policję, Weterynarię, Sanepid. Zresztą od początku słyszeliśmy, że powiaty będą na chwilę, bo nie mają kasy.

Za poprzedniego rządu doświadczyliśmy też niesprawiedliwości przy podziale środków z rządowych programów. Byliśmy niepoprawni politycznie jako powiat, gdzie większość w radzie miała mniejszość niemiecka i Koalicja Obywatelska.

Choć wolałabym nie wymawiać tych słów w kontekście rozmów o przyszłości, nie sposób je dziś ignorować: potencjalna wojna – to temat, który jest dziś z nami. Czuje go Pan?

Tak. Jestem świeżo po ukończeniu Kursu Akademii Pożarnictwa w Warszawie, bo za chwilę pojawi się ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej. Zamierzam następnie przekazać zdobyte informacje kadrze kierowniczej. Uczymy się i wdramy wszystko, co pozwoli być przygotowanym na każdą ewentualność. Działań przed nami dużo, począwszy od budowy schronów albo wskazania miejsc, gdzie ludność można zabezpieczyć, przez działania informacyjne, koordynację.

Od wielu lat Powiat Opolski jest członkiem Związku Powiatów Polskich. Jakie dostrzega Pan korzyści z bycia częścią takiej organizacji?

To jest taki mocny punkt, że możemy w gronie wszystkich powiatów wyartykułować nasze potrzeby. Nasza siła tkwi w jedności. Przy działaniu w pojedynkę ten głos gdzieś ginie, pozostając bez echa. Początkowo miałem wątpliwości. Dziś jestem zadowolony z tego, że jesteśmy częścią tego gremium. W Zarządzie ZPP mamy swojego przedstawiciela z województwa. W poprzedniej kadencji sam byłem w Zarządzie. Wiem zatem, że jest to coś dobrego. Zachęcam wszystkie powiaty, które jeszcze tego nie zrobiły, do przyłączenia się do nas.

Wspominał Pan, że w Zamku Hrabiów Prószkowskich rezydują podopieczni DPS-u, a więc w praktyce głównie seniorzy. O tej grupie społecznej mówi się coraz częściej. Czy Powiat Opolski ma im coś do zaoferowania?

Mimo że zadania z zakresu polityki senioralnej są realizowane przez szczebel podstawowy, widząc, że starzeje nam się społeczeństwo, utworzyliśmy dom dziennego pobytu w naszym domu pomocy społecznej. Chcieliśmy zorganizować seniorom te kilka godzin dziennie także z myślą o ich dzieciach – by mogły wówczas pracować czy odpocząć. Nie podjęliśmy jeszcze uchwały o powołaniu rady seniorów, bo one są w gminach. Natomiast jest dużo możliwości, aby seniorzy uzyskali chociażby dofinansowanie do czasów rehabilitacyjnych czy wyrobów ortopedycznych. Mamy przecież przy powiatowym centrum pomocy rodzinie środki z państwowego funduszu rehabilitacji osób niepełnosprawnych. Nasi mieszkańcy chętnie z tego korzystają. Często wyjeżdżam na spotkania do domów dziennego pobytu. Widzę jak bardzo ta formuła się sprawdza. Ale problem cały czas istnieje. Społeczeństwo starzeje nam się w zastraszającym tempie, więc jest to wyzwanie, które czeka powiaty w najbliższych latach.

Co mogłoby zachęcić nas do odwiedzenia powiatu opolskiego? Może ktoś właśnie planuje majówkę i ułatwi mu Pan decyzję.

Największym bogactwem naszego powiatu są mieszkańcy. To jest taka mozaika Niemców, czyli mniejszości niemieckiej, repatriantów, ludzi z centralnej Polski. Jeśli natomiast mowa o turystyce, to perełek jest mnóstwo, ale wymienię tu kilka: w Krasiejowie mamy JuraPark. Można śmiało spędzić tam co najmniej 2 dni, bo jest baza noclegowa. Mamy ponadto przepiękny Zamek w Niemodlinie. Zamek w Prószkowie również pięknie wygląda, ale jak już wspominałem, jest tam dom pomocy społecznej, więc należałoby się umówić, by zobaczyć jego wnętrze. Mamy też Jeziora Turawskie. Każdy znajdzie dla siebie coś interesującego i z całą pewnością będzie chciał odwiedzić nas ponownie.

Dziękuję za rozmowę.

Ja również dziękuję.